



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Janina Iwańska

Okruchy mojej pamięci

Urodziłam się w Warszawie w roku 1930 w szpitalu Św. Zofii na ulicy Żelaznej, a ochrzczona zostałam w kościele na Lesznie (obecnie przesuniętym). Do Powstania mieszkałam przy ul. Żytniej między Wronią a Okopową. Pierwsze kroki w edukacji stawiałam w Szkole Powszechnej numer 56 imienia Tadeusza Czackiego przy ul. Żelaznej, gdzie obecnie jest Urząd Dzielnicy Wola. Poza moim domem, który w sierpniu 1944 roku został zniesiony z powierzchni ziemi, pozostałe budynki związane z moim dzieciństwem istnieją do dziś. Ilekroć jadę w kierunku Woli i mijam te miejsca zawsze wracają do mnie wspomnienia lat przedwojennych, wojennych i Powstania. Noszę się z zamiarem napisania wspomnień, ciągle jednak brak mi czasu.

Doskonale pamiętam ogródek jordanowski przy ulicy Wolskiej 4 i Ośrodek RGO, w którym dawano nam po lekcjach obiad – zupę i pajdę chleba. W tym ogródku 1 sierpnia 1944 roku zastał mnie wybuch Powstania. Pamiętam wyjazdy na półkolonie do ogródków działkowych na Kole oraz życie Kercelaka i robione tam z mamą zakupy. Rozrywki dostarczała nam tzw. Wenecja na rogu Wolskiej i Młynarskiej oraz kina – „Helios”, „Roxy” i „Italia” – rozmieszczone przy najważniejszych ulicach Woli, tzn. Wolskiej, Chłodnej, Lesznie.

O nasze zdrowie dbała Ubezpieczalnia Społeczna przy Działdowskiej róg Wolskiej (obecnie szpital dziecięcy). Nie wiem dlaczego na ścianie tego budynku umieszczono tablicę, że mieścił się tu przed wojną szpital imienia Karola i Marii. Faktycznie znajdował się on bowiem na Lesznie przy Karolkowej. Tu zaś zawsze była ubezpieczalnia czyli tzw. Kasa Chorych. Pamiętają to na pewno dzieci Woli, bo na Działdowską posyłano nas na lampy kwarcowe ze względu na brak słońca w domach i na podwórkach. Chociaż po wojnie nie mieszkałam już na Woli, chociaż mam mieszkanie słoneczne i na spacerach mogę chodzić do Ogrodu Saskiego, który dawniej był zamknięty dla takich jak ja, to moje korzenie są tu. Zawsze widzę Wolę taką, jaką była przed Powstaniem. Wybuchło Powstanie i moja dzielnica poszła z dymem, a moje życie potoczyło się poza nią – z dala od Warszawy, a nawet przez rok poza Polską.

Od samego początku Wola była ostrzeliwana przez pociąg pancerny – tzw. „krowę” lub „szafę”. Już szóstego sierpnia Niemcy częściowo opanowali dzielnicę, paląc każdy zajęty dom często razem z jego mieszkańcami. Przyszli i do naszego. Mieszkańców wyprowadzili i ustawili po drugiej stronie ulicy pod ścianą fabryki Paschalskiego. Widziałam jak wrzucili granaty do piwnic, do parterowych okien i na podwórko. Poprowadzili nas na Dworzec Zachodni. Szliśmy ulicami: Żytnią, Okopową, Leszmem, Górczewską, Bema. Minęło ponad pięćdziesiąt lat, a ja nie mogę zapomnieć widoku płonących domów ulicy Górczewskiej i leżących na chodnikach spalonych zwłok. Ilekroć tu jestem zawsze widzę tamten obraz. Zaraz potem przypomina mi się Pruszków, gdzie spędziłam trzy doby. Siostry PCK i siostry

zakonne wyszukiwały osoby chore i dzieci i wyprowadzały je z obozu. Ja niestety miałam pecha. Zostałam skierowana do wagonów i zupełnie już sama, bez sąsiadek i znajomych, pojechałam do Oświęcimia. Przywieziono nas w nocy i zaprowadzono do pustego baraku, w którym upchano nas tak, że każdy miał tyle tylko miejsca, ile sam zajmował. Między nami chodziła siostra w pasiaku i zakonnym nakryciu głowy i udzielała pomocy chorym. Wiele osób w tym baraku skarżyło się na ból brzucha. Siostra rozdawała im jakieś krople nalewając je do wody. Ja wychodząc z domu zabrałam woreczek cukru, paczkę sucharów i słoik smalcu. Pamiętałam, że u nas krople dawało się na cukier, więc wyjęłam swój woreczek i wręczyłam siostrze. Natychmiast wokół niej zebrał się tłum i nagle każdego bolał brzuch. W ciągu dwóch dni mój zapas cukru został zużyty. Nigdy jednak tego nie żałowałam. Nawet wtedy, gdy cukier tylko mi się śnił.

Nie pamiętam, żebym jadła cokolwiek poza moimi zapasami i aby ktokolwiek poza tą siostrą pojawił się w baraku przez dwa dni naszego tam pobytu. A potem wyprowadzono nas i pognano do mykwy. Przed łaźnią zabrano wszystko, a po łaźni ostrzyżono włosy, ubrano w pasiaki i zarejestrowano pod numerem, który od tej pory był naszą tożsamością. Otrzymałam numer 85595. Od tej chwili zaczęło się życie obozowe, które jest wszystkim doskonale znane z wielu relacji.

Oddzielono dzieci od matek i przeprowadzono nas do bloku, w którym więźniowie mieli od trzech do szesnastu lat. Ponieważ należałam do starszych zgłosiłam się do pomocy najmłodszemu, za co dostawałam dodatkowe jedzenie w postaci łyżki tzw. mehlzupki, głównego posiłku trzylatków. Myślę, że ta dodatkowa porcja ciepłej stawy pomogła mi przetrwać obóz bez choroby.

Boże Narodzenie w Oświęcimiu było dla mnie ogromnym przeżyciem. Wprawdzie nie wiem jak im się to udało, ale matki przyniosły nam choinkę. Na wigilię przyszły dorosłe osoby i śpiewane były koledy. Do mnie nikt nie przyszedł i pierwszy raz w życiu byłam bez rodziny w wigilię Bożego Narodzenia. Nie mogłam przestać myśleć o ojcu, przebywającym gdzieś w obozie w Niemczech i o mamie, która nic o mnie nie wiedziała i na pewno szukała mnie w gruzach Warszawy. Myślałam o mojej kochanej babci, do której po raz pierwszy nie pojechałam na wakacje i o młodszym bracie. On na szczęście do babci pojechał.

W nocy 18 stycznia 1945 roku zerwano nas na apel, ustawiono w piątki, rozdano chleb, brukiew i koce i wyprowadzono poza obóz. Zaczęła się ewakuacja Oświęcimia. Ruszyliśmy w drogę znaną obecnie jako „Marsz Śmierci”. Wiodła z Oświęcimia przez Pszczynę do Wodzisławia Śląskiego. Kiedy kilka lat temu byłam w sanatorium w Jastrzębiu Zdroju przeżyłam część tej drogi jako smutna turystka. Nie ma wioski, nie ma cmentarza, na którym nie byłoby zbiorowych grobów, gdzie złożono zwłoki więźniów. Wszystkie tablice mówią tylko, że leży w tej mogile tale a tale ciał ludzi ewakuowanych z Oświęcimia w styczniu 1945 roku. Żadnego nazwiska, ani nawet numeru. Przy każdym takim grobie nie opuszczała mnie myśl, że i ja mogłam tu leżeć i nikt z rodziny by mnie nie odnalazł.

W Wodzisławiu wpakowano nas do wagonów-węglarek i pojechaliśmy w nieznaną. Chociaż podróż trwała kilka dni i była straszna ze względu na wielki mróz i ciągle przysypujący nas śnieg, pozostało mi w pamięci również miłe wspomnienie. Gdy dojeżdżaliśmy do Berlina był właśnie nalot i bomby uszkodziły tory. Kiedy czekaliśmy na ich naprawienie odsunięto drzwi wagonu i pozwolono nam wyjść. Zobaczyłam, że wszyscy biegną do przodu, więc pobiegłam za nimi. Okazało się, że maszynista pozwala brać spuszczaną z parowozu gorącą wodę. Kto tylko miał jakiś pojemnik łapał ją i pił, a następnie użyczał naczynie innym. Był to jedyny ciepły posiłek podczas wielodniowej podróży. Nigdy już żaden napój nie smakował mi tak, jak tamta gorąca woda z parowozu.

Celem tej podróży, a jak się później okazało, tylko etapem pośrednim był obóz Ravensbrück. Ostatnim obozem, w którym doczekałam końca wojny, był Neustadt-Glevé.

W Oświęcimiu oraz w Neustadt-Glevé byłam w bloku dziecięcym. Wśród nas było sporo dzieci z matkami, ale też grupa dziewcząt, a wśród nich i ja, które były w obozie same. Tymi dziewczętami opiekowały się cztery dorosłe osoby – panie: Irena, Helena, Helenka oraz siostra zakonna Michalina.

Drugiego maja 1945 roku Niemcy opuścili obóz, a na plac apelowy wjechał Willys prowadzony przez murzyną. Obok niego siedział polski żołnierz z białą-czerwoną flagą w ręce. Nigdy tego nie zapomnę i jestem pewna, że każdy, kto to przeżył zachowa w pamięci do końca życia.

Wojna się skończyła i przyszedł czas powrotu do domu, do mamy. Nasze panie opiekunki zadbały o to, abyśmy miały jakiś środek lokomocji. Zdobyły dla nas wóz z plandeką i konie. W połowie maja wyruszyliśmy w drogę do domu. Było nas 18 dziewcząt w wieku 13-15 lat. Opiekunkom trudno było ochronić nas przed różnymi niebezpieczeństwami, jakie napotykałyśmy zarówno ze strony Niemców, jak i zwycięskich żołnierzy radzieckich.

Podróż do Warszawy trwała około trzech miesięcy. Na wozie jechał dobytek, tzn. garnki, miski, sprzęt niezbędny do przeżycia, koce, pościel i trochę dóbr osobistych, takich jak sukienki, obuwie, bielizna i inne drobiazgi. My słyśmy piechotą za wozem, jak za karawanem. Idąc pieszo łatwiej nam było zauważyć coś, co można by „zorganizować” czyli ukraść. Byłam specjalistką od łapania kur i dosyć często miałyśmy drób na obiad. W tych polowaniach towarzyszyła mi koleżanka – Wanda Swat, z którą w Oświęcimiu opiekowałyśmy się maluchami i wносиłyśmy kible z ich sztuby oraz przynosiłyśmy

z kuchni posiłki. Teraz, kiedy spotykamy się i wspominamy tę drogę okazuje się, że każdej z nas utrwaliło się w pamięci zupełnie inne wydarzenie. W mojej najbardziej utkwily następujące:

Nocleg w jakiejś niemieckiej wiosce. Sołtys ulokował nas w dużym domu. Poprosił przy tym, abyśmy przenocowali również niemieckie dziewczyny. Gdy spałyśmy, zaczęli dobijać się do nas żołnierze radzieccy. Dopiero wtedy zrozumiałam, dlaczego sołtys prosił nas o opiekę nad tymi dziewczętami. Tym razem udało się, ponieważ pani Irena знаła język rosyjski i przekonała ich, że są tu same dzieci wracające z germańskiego lagru.

Na drodze zatrzymują nas radzieccy żołnierze i robią nam „machniom”, tzn. zabierają jednego, najlepszego konia i dają innego, który z trudem utrzymuje się na nogach.

Docieramy do granicy polskiej na Odrze. Okazuje się, że nie możemy przejść na drugą stronę, bo nie mamy dokumentów, że jesteśmy Polkami. Po długich negocjacjach i wręczeniu małego upominku w postaci kartonu amerykańskich papierosów przekraczamy nocą most. Jesteśmy w Polsce!

Jak już wspomniałam jedną z naszych opiekunek była siostra zakonna. Zachęciła nas, abyśmy zamiast prosto do Warszawy poszły do Częstochowy podziękować Matce Boskiej za ocalenie i szczęśliwy powrót do domu. Oczywiście poszłyśmy i serdecznie podziękowałyśmy. Zrobiłyśmy sobie na tle Jasnej Góry wspólne zdjęcie razem z naszym wozem i ulubionymi końmi i po serdecznych pożegnaniach rozjechałyśmy się do swoich domów, dając sobie nawzajem adresy i obiecując kontakty, a nawet odwiedziny. Nie miałyśmy pojęcia, że są to adresy donikąd i nigdy w tych miejscach nie uda nam się spotkać.

Zobaczyłyśmy się ponownie po ponad czterdziestu latach i co najważniejsze odnalazłyśmy panią Irenę, która w tamtych czasach była nam Matką. I także teraz, gdy nas zobaczyła – powitała jak własne dzieci. Jesteśmy już stare. Większość ma wnuki w wieku, w jakim byłyśmy w obozie. Kiedy jednak spotykamy się z panią Ireną znów mamy po te 14-15 lat. Ona zaś jest tą samą młodą kobietą, która wzięła na siebie ciężki obowiązek i doprowadziła nas do naszych rodzin.